

Leon Daudet.

# Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłum. Marya Jadwiga Migewa).

10

Janka i Franciszek to był skrupuły najboleśniejszy, ale ten przy dobrej woli dało się złagodzić jeżeli nie usunąć zupełnie. Przecież młodzi nie dowiedzą się, a gdyby... toż i oni kochają...

Niel nie! ona Klaudyusza utracić nie może.

Park w Butteschaumont jest to dziwactwo romantyczne, rzucone w środek ludnej, a smutnej dzielnicy Paryża. Jego omszone skały, bluszczem opleciony pawilon, most wiszący, jeziorko o ciemnej wodzie – przypominały marzenie ludzi rozczulających się w dziełach Waltera Scotta i Wiktora Hugo. W dni powszednie jest tutaj prawie zupełnie pusto. Kilku apaszów ze swymi towarzyszkami rozsiada się na ławkach. Nie widać wokół żadnego stróża parkowego ani też policyanta.

Klaudyusz jako młody student miał niegdyś w tym parku „rendez vous” z pewną ładną dziewczynką i zachował o tej schadzce bardzo miłe wspomnienie. Tymrazem jednak pozostawał pod silnym wrażeniem zupełnie innego rodzaju.

Doktor przybył pierwszy na schadzkę, ale Marion także nie dała długo czekać na siebie. Ubrana była zupełnie czarno, co podnosiło jeszcze jej jasny kolor skóry blondynki.

– Dzień dobry, Klaudyuszu.

– Dzień dobry, ukochana.

– Boję się. Chodźmy, zdaje mi się, że nas obserwują.

Było to złudzenie. Na ławkach widniały w różnych punktach trzy tylko postacie ludzkie ze zdecydowanymi minami przyszłych samobójców. Ludzie ci nie zwracali na panią Darmelle i jej towarzysza najlżejszej uwagi.

Klaudyusz ujął Marion pod ramię i szeptał jej żarem dyszące słowa. Już dawno marzył o tem, aby jej wypowiedzieć wszystko, co miał w duszy, ale dotychczas nigdy nie mógł zdobyć się na odwagę. Refrenem jego wyznań było uparte twierdzenie:

– Musimy należeć do siebie!

– Jeszcze nie teraz.

– Na cóż czekać mamy?

– Bo to byłoby bardzo złe.

– Czyż jutro lub pojutrze lub za miesiąc zmieni się coś?

– Niestety nic.

– A zatem?

– Miej litość nademną!

Miała w oczach błagalny wyraz. Tak patrzy sarna na czyhającego na nią myśliwca.

Klaudyusz przycisnął ramię drżące jak liść kobiety, mocniej do swego boku.

– Puść mnie!

Nagle stanął przed nimi, jakby wyrosły z pod ziemi, jakiś zaślany o czerwonej twarzy pysk.

– Jak się macie gołąbki?... Wybrali się na gruchanie, kiedy teraz wojna.

Klaudyusz rorywczym gestem usunął z drogi natręta, który chwając się na nogach wrzeszczał dalej:

– Wielcy państwo!... Cacane lalusie. W krzaczki sobie chodzą...

Marion pobladła.

– Widzisz, że zwracamy uwagę na siebie.

– Automobil czeka.

Był na tyle ostrożny, że kazał szoferowi czekać. Pomógł wsiąść Marion, rzucił adres: „ulica des Ombies, Batignolles”, poczem siadłszy obok swej towarzyszki, usiłował zbliżyć swe usta do jej warg.

Ale ona odsuwała się, powtarzając:

– Niel nie! ach nie!

Zakrywała twarz rękami, jak dziecko.

– To źle, to bardzo źle... – powtarzała napół z płaczem.

– Ty mnie nie kochasz!

– Kocham... ale nie żądam teraz, później... innym razem...

– Kapryśnica!

– Mnie się zdaje ciągle, że Ksawery nas ściga, że wybucha strasznym, sprawiedliwym gniewem. Och! Klaudyuszu, błagam cię... pozostawmy przyjaciółmi, tylko przyjaciółmi!

– To niepodobna, Marion! My możemy albo kochać się całą naszą istotą, albo nienawidzić się!

– Inny mógłby mówić w ten sposób! Ale nie ty! nie ty! Ty o tyle przewyższasz innych.

– Niestety! Jestem zakochany jak każdy inny. Chcę posiadać wszystko, rozumiesz, wszystko! i to nie jutro, ale dzisiaj jeszcze!

Usiłował zdobyć nad nią taką władzę, jaką miał nad swymi chorymi. I silna wola zdawała się odnosić zwycięstwo.

Marion przycisnęła się całym ciałem do Klaudyusza, ale zaraz zaczęła płakać i skarżyć się, jakby ta pierwsza pieszczota sprawiła jej ból niewymowny.

Klaudyusz rozdrażniony rozumiał, że na tę kobietę trzeba podzielać jeszcze inaczej.

Automobil zbliżał się do placu Clichy. Doktor Etiennant rozkazał szoferowi zatrzymać się.

– Marion, to niema sensu. Wsiadź, jeżeli taka jest twoja wola. Ale oczekuję na ciebie jutro, ulica des Ombies l. 4, o godzinie czwartej. To jest mój, cichy dom. Zadzwoń. Otworzę ci ja sam. Jeżeli nie przyjdiesz, to zaręczam ci słowem honoru, że widzimy się poraz ostatni.

Marion wydała okrzyk radości. Nie śmiała przypuszczać, że on ustąpi. Jak ptak więziony, któremu otwarto klatkę, umknęła zwinna i lekka, pozostawiając mu delikatną woń fiołków.

Doktor powziął silne postanowienie. Czuł, że zwycięży i to poczucie odmładzało go, ożywiało, zmieniało sposób jego zachowania.

Ta metamorfoza nie uszła czujnego oka Ginetty. Tego wieczora Klaudyusz podczas obiadu okazywał niezwykle dobry humor w przeciwieństwie do kilku dni poprzednich, kiedy to przechodził do stołu zirykowany i zachmurzony.

Przekomarzał się z córką i z żoną, dolewał im ustawicznie wino do kieliszków i opowiadał mnóstwo historyjek o szpitalu i swoich pacjentach.

– Dzieje się coś, o czym ja nie wiem – skombinowała Ginetta – ale będę wiedziała!

W przedpokoju zadźwięczał dzwonek.

– To Franciszek – zawołała radośnie Janka – pewnie ze swoją mamą.

Młodzieniec wbrew przypuszczeniu narzeczonej przyszedł sam bez matki.

– A pańska mama? – zapytała Ginetta. – Spodziewałam się jej.

– Proszę mamę mieć za usprawiedliwioną. Głowa ją boli. Zmęczyła się bardzo dzisiaj, bo miała dużo do załatwienia na mieście.

Młodzi narzeczeni przeszli do przyległego soloniku. Skoro zniknęli za drzwiami Ginetta zauważyła:

– Ten ból głowy, te liczne zajęcia na mieście... Marion musi mieć jakiś stosunek miłosny.

Doktor, naśladowując ton swojej brzydkiej żony, odparł:

– Być może Granfouvre?

– On jest już zbyt stary, aby mógł wystarczyć osobie, która posiada jeszcze tak piękne „resztki” urody.

– Sądziś więc, że ona dzieli swe względy?

– Bardzo możliwe... mimo miny niewiniątka. Nie przysięgałbym, że mały Palaiseau, lub sam Hostelet, albo też ten osioł de Torve.

– No, moja droga, chyba nie wszyscy razem...

Ginetta zachichotała po swojemu i tonem wyższości odparła:

– A dlaczegożby nie? Nie znasz, jak widzę tego typu kobiet, do którego należy Marion.

Ginetta przysunęła się do męża i pocałowała go w szyję, dotykając przytem jego podbródka swoim garbatym nosem.

Klaudyusz zdobył się na tyle siły i odwagi, że oddał jej ten pocałunek...

– – – – –

Marion w południe jeszcze była zdecydowaną nie iść na schadzkę i przerwać w ten sposób radykalnie zgubny stosunek. Układała sobie przez cały dzień co robić będzie. Miała oddać kilka wizyt, załatwić cały szereg sprawunków. I ku wielkiemu swemu zdziwieniu czuła, że jest jej na sercu lekko i spokojnie.

Pogoda była śliczna, błękitna i złota.

Marion cieszyła się wiosną i przeświadczeniem, że uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa. Nie skrzywdzi już Ginetty, nie stanie na przeszkodzie zaręczynom Franciszka, będzie mogła z czystym sumieniem ucałować Jankę.

Zaledwie jednak znalazła się na ulicy pierchnął też nastrój spokoju i zadowolenia ze siebie. Złośliwy chochlik zetknął ją na ulicy de

Rennes oko w oko z ową małą blondynką, pacjentką Klaudyusza, którą to, wedle słów Ginetty, bada on dokładnie, bardzo dokładnie.

Marion przejrzała się w lustrze. Skonstatowała, że jest blada z gniewu, ale stokroć ładniejsza, aniżeli tamta. I jednocześnie zrozumiała, że nic jej nie pomoże najpiękniejsze postanowienia, bo o godzinie czwartej będzie na ulicy des Ombres...

Klaudyusz już kilka miesięcy temu zwrócił uwagę na tę cichą, dyskretną uliczkę, jakby wyrwaną z prowincjonalnego miasta. Kiedy szukał schronienia dla swojej miłości, przypomniał sobie pewien mały domek na ulicy des Ombres. Wynajął go z całym umeblowaniem pod zmyślonem nazwiskiem i umieścił tam starą sługę oddaną sobie kompletnie.

Teraz, siedząc w fotelu, Klaudyusz czekał na swoją ukochaną i dumiał:

– Oto rozpocząłem życie kłamstwa i obludy. Będę musiał oszukiwać Ginetę, Jankę, moich uczniów, moich chorych, przyjaciół, społeczeństwo, nawet samą Marion... Skończyło się ze szczerością, ze spokojem sumienia. Ustawiczne zaniepokojenie będzie moim udziałem. Ilekroć ktoś zadzwoni niespodzianie, ilekroć moja żona wejdzie do pokoju z zachmurzoną twarzą, zadrzę... Na szczęście mam zdrowe serce i nerwy!

Spożył na zegarek. Wpół do czwartej.

Klaudyusz przyniósł sobie do czytania „Sztukę kochania” Owidyusza i jakąś swywołną powieść bogato ilustrowaną. Zdawał sobie sprawę z tego, że taki wybór dzieł był trochę śmieszny, bladeński, ale ostatecznie nie był już młodym, a brakowało mu doświadczenia. Nie mógł się jednakowoż skarżyć na brak sposobności w życiu. W wyobraźni przesuwali mu się wszystkie twarze kobiece, które go zachęcały i ośmielały spojrzeniem i uśmiechem. Modny lekarz, przystojny mężczyzna, gdyby tylko zechciał schylić się, mógłby wybierać pośród najpiękniejszych kwiatów.

Ileż to razy wyraz ironicznego zdziwienia malował się w rysach twarzy niewieściej, ilekroć on udawał, że nie rozumie...

W samym szpitalu było tyle okazji. Doktorki, pielęgniarki, medycy, pacjenci... Kilka zakochało się nawet poważnie. Ale doktor swoim chłodem mroził wszystkie nadzieje, tak bardzo obawiał się fałszywej sytuacji, podejrzliwości żony, możliwych scen skandalu.

Kiedy człowiek ma lat trzydzieścikilka i jest zdrowy jak rydz, nie przychodzi mu do głowy, że kiedyś będzie miał lat pięćdziesiąt...

Czwarta minut dziesięć... Marion spóźniła się. Klaudyusz zdenerwowany nie rozumiał już ani słowa z tego, co czytał. Ogarniało go niepokojona tęsknota za tą śliczną, zwinną, pachnącą osobką.

A gdyby tak skrupuły, czy obawy zwyciężyły i ona nie przyjdzie. Jeżeli jego natarczywość odstraszyła ją...

To przypuszczenie drażniło go, denerwowało w najwyższym stopniu.

Wyteżał słuch, pochwytywał najmniejszy szelest na ulicy. Panował nad sobą, aby nie otworzyć okna i nie wyglądać przez nie niby mały chłopak, oczekujący uciążliwego towarzysza zabawy.

Odnajdywał w sobie ze zdumieniem ten żar miłosny, o którym sądził, że go przygasiły lata. Trzy kwadransy na piątą. Klaudyusz zaczynał wchodzić w sferę przesądów.

– Otwieram ten tom na chybił trafił. Jeżeli pierwsza litera na pierwszej stronie jest samogłoską, to Marion przyjdzie, jeżeli spółgłoską, to nie.

Była to spółgłoska. Jeszcze raz otworzył książkę.

Zawstydził się sam przed sobą tego chłopskiego postępowania. Na Boga! przecież nie jest osiemnastoletnim gimnazjalistą, który czeka na pierwszą w życiu kobietę.

On, dojrzały mężczyzna z siwiejącą głową, ojciec dorosłej córki i stary lekarz...

A jednak miłość widocznie nie starzeje się i starzy umieją tak samo szaleć jak młodzi.

Kwadrans po piątej... Takie spóźnienie!.. Ależ ona chyba nie przyjdzie...

Podejrzenia dręczące ją się zakradać do mózgu Klaudyusza. Może ona tylko drwiła sobie z niego, może to była wyrafinowana zalotność zimnej kokietki... może Marion nie kocha go wcale...

(Ciąg dalszy nastąpi).